

Od autora: Dupowaty miał jedno marzenie - znaleźć dziewczynę, która lubi spać "na łyżeczkę".

„Dupowaty z Niegodzia”

Wszystkie znaki na ziemi i na niebie wskazywały, że będzie to dziewczynka. Pierwsze miesiące ciąży znaczyły poranne wymioty, całodziennie mdłości i senność. Kolejne przyniosły ciężarnej pewną ulgę, jednak za sprawą buzujących hormonów szybko zaczęła przybierać na wadze. Zbrzydła, co ewidentnie wskazywało na płeć potomka, bo to zwykle dziewczynki zabierają urodę przyszłej mamie. Kiedy jednak sypnął jej się obfity wąsik, przyszedł tata stchórzył i zniknął. Brygida Wąsińska nie zmartwiła się zbytnio tym faktem, zrobił swoje, co prawda w miejscu mało romantycznym i będąc pod wpływem alkoholu. Nie miało to teraz żadnego znaczenia. Oczekiwała dziewczynki, zawsze chciała mieć córeczkę, którą będzie stroić w kolorowe ubranka, czesać jej mięciutkie włoski i tulić do piersi. Marzyła o tym od lat, jednak z czasem marzenie to stawało się coraz mniej realne. Szczególnie w małym miasteczku - Niegodziu, wsi w zasadzie, gdzie był tylko kościół, szkoła podstawowa, remiza strażacka, do której regularnie uczęszczała na cotygodniowe potańcówki i gdzie mieszkało niewielu mężczyzn. Czas płynął, dawno stuknęła jej trzydziestka, a urodą nigdy nie grzeszyła.

Podczas czerwcowej długo-nocy, samotnie wracając z dyskoteki Brygidę gwałtem odarł z cnoty podпиты amant. Nie broniła się, sama też była lekko wstawiona i także chętna. Przychodził do niej potem w odwiedziny. Po miesiącu okazało się, że ona spodziewa się dziecka, który to fakt napawał go coraz większym strachem, a już wielka tusza i wspomniany wąsik sprawiły, że pewnego dnia wystrzelił jak z procy, aby nigdy więcej nie pokazać się już w okolicy.

Brygida pracowała w szkolnej bibliotece. Zaokrąglona, tocząca się bryła zjawiała się w pracy punktualnie o dziesiątej i siedziała tam do piętnastej. To co robiła trudno było nazwać pracą, bowiem zajmowała się głównie jedzeniem pomidorów ze śmietaną albo zwyczajnie drzemała. Dzieci rzadko zaglądały do jej cichego zakątka, mogła więc spokojnie spędzać czas na marzeniu o swojej córeczce. Któregoś jesiennego dnia siedząc w kanciapie nagle poczuła skurcze, a po nich prędko następne i kolejne. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Wezwana z najbliższego miasta karetka zabrała rodzicą do szpitala, ku uciesze zgromadzonych uczniów stawiających zakłady, czy zdąży dojechać na miejsce, czy urodzi w aucie.

Zdążyli! Wycieńczonej porodem mamie położna podała umytego już i ubranego noworodka podkreślając dumnie: „śliczny chłopczyk”. Brygida utuliła dziecię, które przystawione do piersi od razu zaczęło umiejętnie ją ssać. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że to chłopiec. Podczas przewijania przymykała oczy, żeby nie widzieć prawdy. A już najbardziej dziwił pielęgniarki fakt, że zwracała się do dziecka imieniem – Martusia.

Lekarz określił jej stan jako lekki szok poporodowy i zalecił spokój. Po kilku dniach młoda mama i zdrowy chłopczyk wrócili do domu.

Rozpoczął się najszcześniejszy okres w życiu Brygidy. Całe dnie spędzała ze swoim długo wyczekiwany maleństwem. Karmiła, przebierała, głaskała śpiące ciało i wychodziła na spacer. Dom pełen był małych, różowych śpioszków, kombinezonów, sweterków i czapeczek. Gdy niemowlę spało matka kładła się obok niego i z zachwytem wpatrywała w maleńką, śliczną buzię wciąż powtarzając: „moja Martusia”.

Raz w tygodniu piekła ciasto - sernik z brzoskwiniami, którym dzieliła się z proboszczem. Kilkakrotnie przecierała ser, potem długo i mocno wyrabiała ciasto, aż stół chwiał się na swoich mizernych czterech nogach. Zapach świeżo upieczonego ciasta rozniósł się w całym domu i poza jego murami. Brygida słynęła ze swoich wypieków, nierzadko jakaś sąsiadka wpadała na mały kęs. Jeszcze ciepłe ciasto pakowała do koszyka na dole wózka i spacerkiem zajeżdżali na plebanie. Ksiądz już czekał, zawsze łasy na słodkości. Tym razem również.

- Szczęść Boże – przywitała się.

- Szczęść Boże, Brygido – odpowiedział oblizując się mężczyzna w sutannie – Proszę za mną.

- A co z wózkiem?

- Możesz zostawić przed wejściem, nikt go stąd nie zabierze – prędko ją uspokoił.

- Ja wezmę Martusię, a ksiądz ciasto.

- Z przyjemnością...

Kobieta wzięła na ręce dziecko, a ksiądz schylił się stękając, bo nieco przeszkadzał mu brzuch, i chwycił brytfannę szczelnie zawiniętą w celofan. Degustacja odbyła się natychmiast, gdy tylko zasiedli do stołu. Sutannik nie mógł czekać dłużej.

- Mhm... pyszne... jak zawsze – przelikując łapczywie zachwycił się jedzący – Napijesz się herbaty?

- Tak, poproszę. Zmęczyłam się trochę, a mała jeszcze śpi.

- Właśnie, dobrze, że przyszedłeś. Chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

- O czym chciał ksiądz ze mną porozmawiać? - złękła się kobieta.

- O chrzcie! Czy myślałaś już o imieniu dla dziecka?

- Tak. Chcę by miała na imię Marta.

- Ależ droga Brygido. To jest chłopiec i nie może mieć na imię Marta! – oburzył się pleban.

- To niech będzie Mart!

- Nie ma takiego imienia w polskim leksykonie imion!

- To będzie! – odrzekła ze spokojną pewnością siebie kobieta – Inaczej...nie będzie serniczka.

- Dobrze, już dobrze. Mart Wąsiński. Ładnie brzmi.

- Też tak uważam – odpowiedziała uśmiechając się przekornie.

Nastała długa i śnieżna zima. Brygida spacerowała ciągnąc za sobą dziecko na sankach. Ciepło odziany chłopiec, z błyszczącą od kremu buzią, patrzył w niebo lub na idącą przed nim mamę, która często zatrzymywała się, poprawiała mu szalik lub czapkę i mówiła. Nieustannie mówiła do dziecka, jakby chcąc wypowiedzieć wszystko co przez lata nagromadziło się w jej głowie, a o czym wcześniej nie miała komu opowiadać.

Latem, ubrany w zwiewne sukieneczki wizytował z mamą miasteczko. Blond włoski miał zaplecione w dwa mini warkoczyki, a delikatną buzię chronił różowy kapelusik z szerokim rondem. Siedział w wózku, jak na tronie, i ciekawie przyglądał się wszystkiemu. Jemu też przyglądano się ciekawie, a jeszcze bardziej jego mamie. Wszędzie gdzie się pojawiali, wywoływali ironiczne półuśmiechy, które po ich odejściu zamieniały się w salwy śmiechu.

Mijały lata. Ponad dwuletni Mart ciągle ssał pierś, nie potrafił jeszcze mówić i płakał, gdy matka znikwała choćby na chwilę. Spali w jednym łóżku, mały odwrócony do matki plecami, otoczony jej ramionami, w pozycji „na łyżeczkę”. Brygida musiała wrócić do pracy i zabierała ze sobą dziecko. Tam siedział cichutko, oglądał książki z obrazkami, bawił się zabawkami, jadł kiedy był głodny, ale najważniejsze, że była z nim mama.

Gdy poszedł do szkoły, nie przeżył traumy jak zdarza się to wielu dzieciom oderwanym od rodziców. Jego mama zawsze była blisko i na przerwach korzystał ze sposobności widzenia jej. Był greczny i cichy. Nie tylko tym jednak różnił się od pozostałych dzieci, szczególnie od chłopców. Już nie w sukience, ani warkoczach, ale nadal miał długie włosy i nosił zawsze coś różowego. Lgnął do pani nauczycielki, bał się wrzeszczących dzieci, bijących się o zabawki i biegających po korytarzach.

Nie miał problemów z nauką, szybko jednak dało się zauważyć, że preferuje nauki humanistyczne, niż ścisłe. Często siadał z książką w ręku, z dala od rówieśników i zapominał o całym świecie, przez co spóźniał się na lekcje i dostawał uwagi do dzienniczka, z których jego zafrasowana mama musiała się potem tłumaczyć. Na WF-ie nie grał w piłkę nożną, ani żadne gry zespołowe, po prostu nie radził sobie. Piłka jakimś sposobem zawsze stawała się jego wrogiem, przewracał się o nią, wytrącano mu ją z rąk lub podawał ją nie temu, komu trzeba. Gubił się, był zbyt wolny. Nie lubił też grać w karty, nie rozumiał tych emocji, dziwiła go ekscytacja rówieśników, którzy potrafili godzinami rżnąć w brydża lub w wojnę.

W starszych klasach szkoły podstawowej modne stało się palenie papierosów i picie alkoholu. Celebrovano ten rytuał, kryjąc się w szkolnych toaletach, czy poza budynkiem lub na rzadkich domowych imprezach. Nigdy nie ciągnęło go do zakazanych uciech. Koledzy z pełną egzaltacją opowiadali jak to jeden papieros krążył między nimi w męskiej ubikacji albo jak pili ajerkoniak znaleziony w barku któregoś z ojców. Marta nie interesowały te opowieści. Dyskretnie odchodził wtedy na bok lub zostawał blisko nerwowo strzelając wyginanymi palcami. Stopniowo przylgnęła do niego etykieta – Dupowaty, i z czasem wszyscy zaczęli zwracać się do niego nie imiennie, tylko właśnie tak.

- Dupowaty! – drwili z niego – Idziesz z nami na szybkiego sztacha? Może kielonka?

- Dupowaty! Jakie dziś masz drugie śniadanko?

- Dupowaty! Chyba mama zapomniała wysłać cię do fryzjera, co nie?

- Dupowaty! Chodź pooglądasz z nami „Świerszczyki”!

- Dupowaty! Wąsik ci się rzucił, jak twojej mamusi!

Marta przestało drażnić to przezwisko, przyzwyczał się. Unikał jednak rówieśników, bo sprawiały mu przykrość ich złośliwe zaczepki. Na długiej przerwie wyciągał kanapkę, a na deser obowiązkowo ciasto schowane do plastikowego pojemniczka. Jadł je łyżeczką, nie bacząc na otaczające go morze drwin.

Od najmłodszych lat uwielbiał pomagać mamie w kuchni. Była to jego druga pasja, poza czytaniem książek. Do innych czynności miał dwie lewe ręce. Nie umiał wbić gwoźdź, tylko zwykle trafiał w palec, a potem chodził z sinymi, schodzącymi paznokciami. Na zajęciach praktyczno-technicznych nauczyciel, wiedziony doświadczeniem, zawsze przydzielał mu najprostsze zadania. Takie, przy których nie zrobi sobie, ani innym krzywdy. W kuchni jednak był królem, nie było potrawy, której nie umiałby upichcić. Zaczynał jako mały pomocnik, który z chęcią dosypywał mąkę, wbijał jajka lub mieszał składniki. Oprócz pieczenia ciast nauczył się przyrządzać sałatki, potem zupy, a na koniec wykwintne dania obiadowe. Kuchnia kojarzyła mu się z mamą, z ciepłem, pięknymi woniami i pysznymi smakami. Czuł się tam bezpiecznie, było to jego miejsce.

Odkąd zaczął interesować się dziewczynami, co Brygida zauważyła sprawdzając zawartość jego tornistra, przestała już sypiać z nim „na łyżeczkę”. Stawał się młodzieńcem i nie był to zdrowy układ. Mart bardzo tęsknił za przytuleniem. Czasem w nocy tupał bosą do łóżka matki, zawijał się w jej objęcia i spokojnie zasypiał.

Nęciły go szkolne koleżanki, ich piersi i kuszące ciała ubrane w kolorowe fatałaszki. Ich słodkie buzie, duże oczy i czerwone usta. Podobały mu się te małe kobietki, jednak nie robił nic, aby z którąkolwiek porozmawiać, nie mówiąc już o propozycji spaceru, czy czegoś więcej. Był nieśmiały. Paraliżował go strach przed wyśmianiem i odrzuceniem.

W technikum gastronomicznym, do którego dojeżdżał aż do odległego miasta, otoczony wianuszkami paplających dziewcząt wstydził się jeszcze bardziej. Pragnął ich, ale przerażały go swoją odmiennością. Nie wiedział jak z nimi rozmawiać, należały do innego świata. Jako pilny uczeń skupił się na nauce, a zajęcia praktyczne stały się jego żywiołem i ciągle eksperymentował z nowymi potrawami. Po szkole od razu pędził na przystanek, ponieważ jedyny powrotny PKS do Niegodzia odjeżdżał o siedemnastej. Podobnie poranny do miasta, o szóstej piętnaście. Podczas długich podróży autobusem czytał książki lub drzemał.

Wybór kierunku studiów był oczywisty. Mart nie chciał słyszeć o niczym innym jak Żywnienie Człowieka na SGGW. Dostał się bez problemu, a Niegodzianie jak zaczarowani patrzyli teraz na swojego Dupowatego. Miał silny charakter, jak matka, i wiedział czego chce.

Mart zamieszkał w akademiku i zaczęło się zupełnie inne życie. Wprowadził się do chłopaka, który lubił dobrą zabawę, imprezy i dziewczyny. Sprowadzał wymalowane lale, poił alkoholem i potem długo nie pozwalał im zasnąć. Dupowaty także nie spał, nie mógł też czytać. Słuchał i myślał, że on chciałby ina-

czej... Marzył, aby spotkać dziewczynę, która lubiłaby spać „na łyżeczkę”, wtulić się w jego ramiona i spokojnie zasnąć. Byłaby skromna, cicha i nie wyzywająca, jak sprowadzane tutaj łatwo-pylne okazy.

Towarzyski współlokator zapraszał czasem dwie panny, jedną dla siebie, drugą dla Marta. Nie klejąca się rozmowa oraz brak zainteresowania alkoholem zniechęcały potencjalną partnerkę, a już pytanie, które jej z marszu zadawał - „Czy lubisz spać na łyżeczkę?” - pogrążało go całkiem. Rozbawiona dziewczyna wychodziła, zabierając ze sobą koleżankę, a Dupowaty zostawał z rozeźlonym kolegą, który chciał pomóc, a w efekcie sam także tracił okazję.

Z czasem zupełnie przestały interesować go akademickie imprezy. Był świadkiem zjeżdżania w metalowej misce z wysokich schodów, co niechybnie mogło skończyć się wypadkiem. Widział erotyczne sceny w pokoju, na korytarzu, na ławkach w parku i wzdragał się na myśl, że dziewczyny potrafią być tak wulgarne i bezwstydne. Zupełnie inny ich obraz miał w głowie.

Kilka razy wybrał się na dyskotekę. Jednak im bardziej chciał, tym dalej był od osiągnięcia zamierzonego celu. Nieśmiały, spięty, deptał po palcach nielicznym wybrankom, które zgodziły się na taniec z chłopakiem w białych skarpetach. Martowi muzyka nie przeszkadzała w tańcu, kiwali się więc każde z swoją stroną, aż w końcu wymęczona torturą milczenia i ze zdeptanymi stopami panna czmychała czym prędzej w inny kąt ciemnej sali. Przy wolnych udawało mu się nawet zatrzymać partnerkę na drugi taniec i wtedy zadawał swoje kultowe pytanie. Wydawało mu się ono niewinne, bezpośrednio wiodące do celu, jednak odbierane było inaczej. Nieraz dostał zamasyście w policzek, a najczęściej dziewczyna zostawiała go w połowie tańca i odchodziła bez słowa wyjaśnień.

Na czwartym roku studiów tak ustawił grafik zajęć, żeby mieć wolne czwartki i piątki, i rozpoczął pracę w małym bistro, w centrum miasta. Menu stanowiły proste i sycące włoskie potrawy, jak pizza, spaghetti, lasagne i inne makarony. Na deser tiramisu i nasączona alkoholem baba – sprowadzana specjalnie z Neapolu oraz nieodzowna kawa lavazza. Było dużo klientów, w tym studentów innych uczelni oraz tzw. białych kołnierzyków. W porze obiadowej lokal pękał w szwach, a kucharz nie nadążał z przygotowywaniem posiłków. Mart doskonale radził sobie w takich sytuacjach, panował nad spływającymi zamówieniami, a wykonane przez niego potrawy wzbudzały zachwyt. Szybko zyskał zaufanie szefa, był przyjaźnie nastawiony do personelu i klientów. Odżył!

Piąty rok był fraszką – igraszką na uczelni. Zjawiał się tam tylko na spotkania z promotorem, a cały wolny czas spędzał w bistro. Awansował na zastępcę szefa i sumiennie doglądał, aby wszystko było w należytym porządku. Coraz częściej przez mózg przelatywała mu myśl, że chciałby otworzyć własny lokal, stać się szefem i kucharzem jednocześnie. Wieczorami było spokojniej, siadał wtedy przy jednym ze stolików i zjadał późny obiad, na który w ciągu dnia nie miał czasu. Oglądał włoską stację telewizyjną, obowiązkowy program właściciela.

W knajpce sporadycznie pojawiała się szczupła, skromna dziewczyna, którą w myślach nazywał „szarą myszką”. Zamawiała jedną z potraw, jadła ze smakiem, a potem surfowała w Internecie na swoim laptopie. Przed wyjściem kupowała jeszcze kilka dań na wynos i objuczona siatami szła na pobliski przystanek autobusowy. Zauważył, że zjawia się dwa razy w tygodniu, regularnie we wtorki i piątki. Wyglądała na zmęczoną, zaleknioną, a na pewno wygłodzoną, bo dania znikwały z jej talerza w oka mgnieniu. Intrygowała go i zastanawiał się dlaczego taka ładna dziewczyna jest sama. Niekiedy ich oczy spotykały się, wtedy ona szybko wracała spojrzeniem do komputera, a on do pływających w akwarium rybek.

Któregoś piątku zamówiła więcej dań na wynos niż zwykle. Komputer i trzy torby pełne jedzenia unie-

możliwiły jej samodzielne otwarcie drzwi. Pomógł jej, a potem za nią patrzył. Zaczęła biec do stojącego na przystanku autobusu, a plisowana spódnica, w której najwyraźniej zepsuł się zamek, zaczęła zsuwać się z jej bioder. Coraz niżej, i niżej, aż w końcu zatrzymała się na stopach i dziewczyna przewróciła się na chodnik, zgniatając sobą wszystkie targane potrawy. Natychmiast za nią wybiegł.

- Pomogę pani – podał jej rękę i dopomógł wstać.

- Dziękuję – odpowiedziała podciągając spódnice i mocując się z suwakiem – Uciekł mi autobus, a dania są do wyrzucenia.

- Będzie następny - powiedział uspokajającym tonem – A w sprawie potraw coś wymyślimy. Pracuję w tamtym bistro.

- Wiem... - odparła raźniej – Jestem Marta.

- Mart! – przedstawił się chłopak, stukając piętami jak w wojsku – Chodźmy do środka.

Właściciel był we Włoszech, a kucharz dawno już wyszedł. Byli sami. Mart zapakował takie same dania, które uległy zmiążdżeniu i podał je dziewczynie.

- Ślicznie dziękuję - odrzekła uśmiechając się wdzięcznie – Ile płacę?

- Gratis od firmy, tylko więcej się nie przewracaj – zażartował Mart – Może chcesz agrafkę?

- Nie, dziękuję – odparła rumieniąc się Marta – Pójdę już. Jutro przyjeżdża mama, to dla niej.

- Miłego ucztowania życzę. I smacznego!

- A, dziękuję. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia – odrzekł pogodnie chłopak.

Patrzył jak ostrożnie idzie na przystanek, wsiada do autobusu i odjeżdża uśmiechając się do niego przez szybę. Pomachał jej, choć tego z pewnością już nie widziała.

Nie mógł się doczekać kiedy znów ją zobaczy. Nie przyszła we wtorek, zastanawiał się czy coś jej wypadło. Zmarkotniał. Zjawiła się dopiero w piątek, o wcześniejszej niż zwykle porze.

- Opowiadaj! Jak było? – spytał na wstępie.

- Mama popróbowwała wszystkiego, ale chyba jej nie smakowało. Ona lubi tylko nasze polskie, tradycyjne potrawy.

- Nie martw się! Coś zaradzimy.

- Powiedziała, że jak przyjedzie następnym razem, to chce zjeść zwyczajny obiad!

- Kiedy przyjedzie? – spytał rzeczowo.

- Za miesiąc!

- Spokojnie. Mamy dużo czasu.

Spoglądali na siebie bez słowa. Dziewczyna już nie na laptop, a chłopak nie na akwarium.

- Wiesz, czekałem na ciebie... - zaczął Dupowaty sam zaskoczony takim wyznaniem – Nie było ciebie we wtorek.

- Nie mogłam przyjść. Musiałam zostać dłużej w pracy. Mamy audyt.

- Wiesz, mógłbym cię nauczyć gotować kilka potraw. Jestem w tym dobry.

- A ja, jeśli chodzi o gotowanie, mam dwie lewe ręce. Nawet jajecznicy nie umiem usmażyć!

- Kiedy możemy zacząć lekcje?

- Nawet dziś, u mnie. To niedaleko.

- W porządku. Zwolnię się tylko u szefa i idziemy.

Po drodze zrobili jeszcze niezbędne zakupy, bo chłopak nie spodziewał się, aby w szafkach czy lodówce znalazł coś oprócz gotowych dań. Miał rację. Kuchnia lśniła czystością, a szafki pustością. Lodówka również.

- Dlaczego masz takie dziwne imię? - odważyła się w końcu spytać Marta.

- Wcale nie jest dziwne! Mama tak mnie nazwała – wytłumaczył swobodnie.

- Od czego zaczniemy naukę? – spytała lękliwie uczennica.

- Od jajecznicy. To najprostsze danie.

- Jestem załamana! – wskazała na stojące na półce książki kucharskie - Pięć instrukcji, a ja nie wiem jak to zrobić!

- Można się uprzeć i zakładać majtki przez głowę, najlepiej jednak zacząć od początku.

- Czyli?

- Wiesz co? Może ja będę działał, a ty będziesz patrzeć. Tak będzie szybciej.

- Dobrze, Mart – potulnie zgodziła się dziewczyna.

Jajecznica wyszła przepyszna. Siedzieli na wysokich stołkach przy kuchennym blacie i jedli ze smakiem. W pewnym momencie Mart przypomniał sobie prawie zapomniane pytanie.

- Marto! - zwrócił się do niej oficjalnie, jakby to była sprawa życia lub śmierci - Czy lubisz spać „na łyżeczkę”?

- Taaak! Baaardzo! To moja ulubiona pozycja - odrzekła podniesionym z emocji głosem – Tak zawsze spałam z mamą.

I Mart został u Marty, do rana. Utulił ją w swoich ramionach i zasnęli „na łyżeczkę”, tak po prostu.

Intensywny kurs kucharski nie przyniósł spodziewanych rezultatów, ale żadna ze stron nie zamartwiała się z tego powodu. Mart gotował, a Marta podawała mu niezbędne składniki. Po kolacji testowali nowe łyżeczkowe pozycje.

Kilka miesięcy później Dupowaty zastukał w drzwi małego domku w Niegodziu. Otworzyła Brygida we własnej osobie.

- Kogo moje oczy widzą? Mart! – matka wylewnie powitała syna.

- Mamo. Chciałbym ci kogoś przedstawić.

- Nie tutaj, nie w progu – odpowiedziała przesądnie kobieta – Wejdźcie do środka.

Gdy wszyscy troje znaleźli się we wnętrzu, Mart przystąpił do prezentacji.

- Mamo! To jest Marta – moja dziewczyna! – oświadczył z dumą w głosie.

- Marta! Moja Martusia... - i Brygida rzuciła się ścisnąć i całować nowoprzybyłą.

- Mamo, proszę... - syn dyskretnie próbował studzić jej karesy.

Gdy wyściskana i wycałowana dziewczyna odzyskała wreszcie oddech, grzecznie dygnęła i wydusiła z siebie krótkie:

- Mi również miło panią poznać. Dużo o pani słyszałam.

- Mam nadzieję, że dobre rzeczy.

- O, tak! Mart wyrażał się o pani w samych superlatywach.

- No! Dość już tego stania! Usiądźcie sobie na kanapie, moje gołąbeczki, a ja zrobię herbatę. Będzie też świeżutko upieczony sernik.

Brygida oddaliła się do kuchni szepcząc do siebie: „Marta Wąsińska, Marta Wąsińska, Marta Wąsińska... Hmm – brzmi bardzo ładnie”. Miała teraz dwie Marty, syna i córkę, a niebawem miały pojawić się bliźniaczki. Było to jeszcze jednak tajemnicą dla wszystkich.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

Niczyja, dodano 03.02.2016 19:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.